

Ballada o łzach Kaukazu i afrykańskiej krwi

23 grudnia 2020

No i znowu przypadek zmienił moje plany. Byłem przekonany, że tym razem napiszę felieton o wyznaczonym czasie, oddam w terminie i następnego dnia będzie już w kioskach. Zaplanowałem sobie już nawet treść, w jakimś świątecznym klimacie, przepełniony życzeniowego myślenia – typu, oby ludzie żyli dostatnio, i szybko uwolnili od Covida. Żeby byli wolni od wojen, głodu, nędzy i bezdomności.



Myślałem, że może ewentualnie napiszę jakieś podsumowanie wydarzeń mijającego roku. Chciałem chociaż tym razem zrobić coś, tak jak wszyscy. Wprawdzie od lat nie obchodzę, ani świąt, ani sylwestra, to owczym pędem, śladami innych publicystów, naprawdę chciałem zrobić wyjątek, złożyć życzenia i obwieścić czytelnikom – wesołych świąt i szczęśliwego nowego roku.

Wszyscy przecież tak mówią (piszą), więc wszyscy to powielają. Generalnie mało ich potem to obchodzi, ale są święta, więc publicyści składają życzenia.

Przykleimy więc wszyscy grymas z zakrzywionymi ku górze kącikami ust, kiedy ściskając się z bliższą i dalszą rodziną będziemy w myślęć – „cholerna ciotka, czy aby nie ma Covida? Albo: „Zarazi mnie ten wujo opłatkami, czy on choć raz w życiu umył łapy?”. „I jeszcze z tą obleśną kuzynką trzeba się wyściskać”. Ale tego nie powiemy, grymas będzie trwał do końca spektaklu. Uśmiechamy się pomimo odruchu wymiotnego i potem jeszcze na pożegnanie utwierdzamy w przekonaniu, jak cudownie spędziliśmy wieczór, przybieramy pozę głębokiego zainteresowania losem kogoś, kim w normalnym dniu nawet byśmy sobie głowy nie zawracali. Są jednak święta, więc odgrywamy ten coroczny teatr rodzinnych kłamstewek, rodzinnych oszustw i ogólnej hipokryzji.

W miarę wypitego alkoholu atmosfera będzie się oczywiście rozluźniać, rodzinne niesnaski znikną, a i ten Covid nie taki straszny – o czym przekona nas kolejny wypity kieliszek, pod toast typu „oby nam się”, „żeby ten nowy rok był lepszy” wszystko to przeplecione rozmowami, w których każdy się chwali każdemu usiłując jakkolwiek zaimponować czymkolwiek, najlepiej kasą, trzeba też obgadać nieobecnych, ustalić przyczyny nieobecności lub niepowodzenia. Bo mamy taką tendencję, że zawsze lepiej wiemy jak ma żyć ktoś inny, chociaż sami nie dajemy sobie rady w świecie.

Tak mniej więcej wygląda tradycyjna polska wigilia, Wielkanoc czy nowy rok. Rano oczywiście kac, postanowienia noworoczne tracą ważność już drugiego, góra trzeciego dnia stycznia. I całe święta.

Zdarzają się niekiedy rodzinne awantury czy skrywane waśnie, jeśli pojawi się impuls, który je wywoła, co w połączeniu z alkoholem daje mieszankę wybuchową.

Zwykle kończy się jedynie na „bijatyce” werbalnej, ale zdarzają się też rękoczynny. W tym roku może być ich więcej, stoły podzielą się na zwolenników teorii lansowanej przez znaną polską piosenkarkę i niektórych liderów politycznych, i

tych którzy ufają wiedzy naukowców i stosują ich zalecenia pandemiczne.

Awantura potrwa chwilę, by w efekcie po kolejnej butelce doprowadzić do wspólnej konkluzji, że „Polaka nic nie ruszy”. Ogólna buźka i wszyscy się kochają, no to „się w ten głupi dziob”, „chluśnięciami bo usuniemy” itp. Trywialność, powtarzalność i hipokryzja takich imprez jest odrażająca. Dlatego znacznie bardziej cenię sobie święta spędzone samotnie, w zaciszu własnych czterech ścian niewielkiej kawalerki.

Nie mogę się powstrzymać, by nie opisać Wam jak wyglądają toasty na Kaukazie. Wspomniałem o tym w reportażu, ale tutaj nieco rozwinę ten fenomen. O ile w Polsce mężczyzna musi pić (chyba że zaszyty) kląć i skrywać wszelkie emocje czy uczucia, udawać obojętność na wzruszenia i opowiadać o kozackich wyczynach. To mężczyzna na Kaukazie podczas tych uroczystości opowiada publicznie co mu leży na sercu, co wzrusza. Tam uroczysta jest każda wspólna kolacja, wszyscy siadają do stołu, ważna jest rozmowa, nawet banalna, to jednak dzielą się wrażeniami, nie wstydzą uczuć a toast to cała ceremonia.

Można go wznosić czymkolwiek – absolutnie nie musi być to alkohol, może być sok, kawa, czy też zwykła woda. Gdy ktoś wstawał z naczyniem w dłoni, inni przerywali rozmowę i robili dokładnie to samo. Podczas toastu opowiadał co go do tego skłoniło, za co, za kogo, na jaką cześć czy z jakiej okazji go wznosi. Mówili długo.

Wszyscy w powadze i milczeniu uważnie słuchali, bywało, że mówiącemu pojawiały się w oczach łzy, zwłaszcza teraz, gdy przywoływali wspomnienia z ostatniej wojny w Arcachu (Gorski Karabach) mówili o swoich bliskich, których stracili, inni również zaczęli mieć „szklane oczy. Nikt nie ośmielił się przerwać, powiedzieć: „nie użalają się nad sobą”, „weź się w garść”, „nie bądź babą” czy nawet „będzie dobrze” nikt nie mówił nic, poza wznoszącym toast. Wszystko w mistycznej

atmosferze, jakże różne od naszych toastów – myślałem za każdym razem. Wypowiedziane głośno przez twardych i odważnych kaukaskich mężczyzn emocje i uczucia wcale nie ujmowały im męskości. Dlaczego więc w naszej kulturze jest to niemal zakazane? Dlaczego wrażliwy facet mówiący głośno o swoich emocjach wrzucany jest do szufladki „słaby”? Tyle o pięknych toastach, Sądziłem, że święta spędzę na pisaniu artykułów z wojny i reportaży zarówno z życia mieszkańców kraju. Cieszyłem się nawet, że w tak fajny sposób spędzę święta. Ledwo doszedłem do siebie po podróży, jeszcze do końca nie rozpakowałem plecaka, gdy znowu przypadek wywalił moje plany do góry nogami.

Zadzwonił telefon, a ja bez zastanowienia krzyknąłem w słuchawkę – pewnie, jadę!!!

Za kilkanaście godzin wylatuję więc do Afryki. Ucieszyłem się jeszcze bardziej, że czas ten spędzę odcięty od wszelkich wiadomości i telefonów z życzeniami.

Chyba, że będzie tam internet. Sytuacja wydaje się trochę surrealistyczna. Jeszcze nie zdążyłem dojść do siebie po powrocie z Armenii i Republiki Arcachu, gdy dotarła do mnie wiadomość, że jeśli chcę i nie mam innych planów to mogę polecieć do Bangi – stolicy Republiki Środkowoafrykańskiej.

Nawet gdybym miał jakieś plany, to taka oferta przebija wszystkie. Nie obyło się bez schodów, dowiedziałem się jak zawsze w ostatnim momencie czyli pięć dni przed odlotem, musiałem porobić odpowiednie szczepienie i badanie na Covid PCR.

A badania i szczepienia? Przy odpowiedniej determinacji można osiągnąć niemal wszystko. Załatwiłem to w dwa dni. Znalazłem tylko jeden ośrodek w województwie, który miał ostatnią taką szczepionkę. Natychmiast zarezerwowałem i następnego dnia byłem na miejscu.

Są oczywiście przychodnie medycyny podróży, gdzie takie

szczepienia robią, tylko nikt nie przechowuje ich na zapas. Zwykle ,zwykle planuje się wcześniej takie wyjazdy. Przychodnia ma czas, by to sprowadzić. Pierwszy raz mieli kogoś, kto wpadł, powiedział, że musi bo zaraz leci. Popatrzyli trochę jak na idiotę. Lekarka próbowała nakłonić mnie jeszcze na kilka innych, dodatkowych szczepień, uznałem to jednak za stratę czasu i pieniędzy. Każda z nich, to przynajmniej kilkaset złotych.

Zredukowałem sobie ich liczbę do niezbędnego minimum przekroczenia granicy. Zrezygnowana lekarka wcisnęła mi jeszcze receptę na leki przeciw malarii, ale widząc jak niechlujnie wepchnąłem ją do kieszeni, zrezygnowana zaproponowała żebym chociaż spray od insektów i dała mi ulotkę, ale ograniczony budżet także podpowiedział mi, by wyrzucić ją w najbliższym koszu i zwyczajnie nie myśleć za dużo.

Tak więc z odrobiną szaleństwa – kierunek Republika Afryki Środkowej, gdzie 26 grudnia będą wybory. Mimo, że od lat trwa tam bardzo krwawy konflikt wewnętrzny, to praktycznie niewiele osób o tym wie. Znakomita większość rodaków, musi spojrzeć na mapę, by upewnić się, że faktycznie takie państwo istnieje. A istnieje, w samym środku tego kontynentu. Od lat trwa tam wojna domowa, ale jakoś niespecjalnie przykuwa to uwagę mediów. Może nie mają ropy? Chociaż podobno koncerny francuskie wciąż ją eksploatują. Ponoć są miejsca, których jeszcze nie skakał człowiek swoimi maszynami, a pod ziemią wszelakie dobra od złota, przez ropę i cholera wie co jeszcze.

Gdy mówiłem znajomym, że lecę do Republiki Środkowej Afryki, pytali „ale której”. Oczywiście niemal każdy wymieni kilkanaście, państw afrykańskich. Od Maroko, przez Egipt, Etiopię, Czad, Nigerię, Kongo i wszelkie inne większe lub mniejsze atrakcje turystyczne. Ten niewielki, bo niespełna pięćmilionowy kraj okazuje się, że raczej nie jest powszechnie znanym miejscem.

Nie ma dostępu do oceanu, żadnego większego jeziora czy choćby Morza Śródziemnego, próżno szukać atrakcji, a trwająca od lat wojna domowa, która wykrwawia mieszkańców, skutecznie zniechęca biura podróży do wysyłania tam swoich rezydentów. Jest tam jedynie kilka niewielkich parków narodowych lokalna katedra Notre Dame i cała masa uzbrojonych, szalonych i żadnych władzy ludzi.

Natomiast państwa, które tak chętnie interweniują na całym świecie w przestrzeń bogatą w złoża, od ropy po złoto czy diamenty, tu nie widzą specjalnego interesu. Może te złoża nie są aż tak wielkie?

Wyzwolona w latach sześćdziesiątych dwudziestego wieku francuska kolonia, ma niepewne złoża, w obecnej sytuacji ryzykownym jest wysyłanie tam badaczy czy naukowców. Żeby światowe koncerny zechciały zwrócić uwagę na problem mieszkańców. Sam wewnętrzny konflikt, który wyniszczył ten rejon, musiałyby mieć gwarancję wyłącznego dostępu do złóż, ale ponieważ nie bardzo wiadomo jakie są te zasoby, lepiej zaangażować maszynę światowej propagandy i wszystkie serwisy informacyjne w pewniejsze miejsca . Gdyby przynajmniej mieli białych misjonarzy.

Chyba już kiedyś pisałem, że ten świat niespecjalnie mi się podoba. Coś trzeba z tym zrobić. Zacznę od relacji z Bangui i konfliktu, chociaż i tak w mainstreamie nikt tego nie zauważy. Jeśli tylko mi się uda, napiszę relację stamtąd.

Gdy to czytacie jestem już w Afryce. Do kolejnego przeczytania na łamach.

Autorstwo: Piotr Jastrzębski

Źródło: WolneMedia.net